Rozwód to brama do piekła”

Jestem typowym przykładem człowieka mającego wyższe wykształcenie, zajmującego dość odpowiedzialne stanowisko, ale nie umiejącego mądrze żyć. Wykształcenie a prawdziwa mądrość to dwie zupełnie różne rzeczy. Teraz wiem, że mądre życie to życie z Bogiem w centrum. Nie zawsze tak było...

Przedstawiamy Państwu niezwykłe świadectwo nawrócenia Kasi, która drogę do Boga odnalazła w... procesie rozwodowym. Świadectwo pierwotnie ukazała się w magazynie "Miłucie się".

Początek swojego małżeństwa jeszcze niedawno określałam mianem „fatalnego zauroczenia”. Przez kilka lat byliśmy z mężem przeciętnym małżeństwem: ani dobrym, ani złym. Pamiętam, że bardzo przeżyłam Pierwszą Komunię św. naszego syna. Później, niestety, zaczęliśmy się staczać po równi pochyłej. Coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie… Ja na wiele lat odeszłam od Kościoła, mąż coraz częściej pił i przestał interesować się rodziną.

W 1989 roku zginął w wypadku mój szwagier i ten moment był dla mnie w pewnym sensie przełomowy. Zaczęłam sobie wtedy zadawać pytanie o znaczenie ludzkiego życia. W tamtym czasie nikt i nic nie dawało mi odpowiedzi na to pytanie, a ponieważ życie nie znosi pustki, zaczęłam szukać odpowiedzi w religiach Wschodu, interesować się filozofią pozytywnego myślenia, po prostu – kreować rzeczywistość po swojemu. Byłam w polskich świątyniach indyjskich, uczestniczyłam w obchodach urodzin mistrza duchowego – guru Kryszny Kszetry Prabhu we Wrocławiu, a nawet gościłam bhaktów – czyli wielbicieli Kryszny – u siebie w domu. Byłam zafascynowana innością tej religii i kultury. Bardzo dużo czytałam. Pamiętam, że chciałam zmienić siebie, stać się człowiekiem spokojnym, opanowanym, dobrym, łagodnym. I nic... Pozostawało mi moje „chcenie”, a ja się nie zmieniałam. Reagowałam bardzo emocjonalnie. Doskonalenie siebie jest ważne w każdej religii, ale bez odpowiedzi pozostawało pytanie, jak to osiągnąć. Wierzyłam w Boga, tęskniłam za Nim, ale wydawał mi się On wówczas tak odległy, daleki, nieosiągalny.

W naszej rodzinie było coraz gorzej. Mąż narobił mnóstwo długów, jego firma zbankrutowała, pił coraz więcej… Przeżyłam piekło żony alkoholika: pijackie awantury, interwencje policji, strach, problemy finansowe i towarzyszącą temu świadomość cierpienia naszego dziecka… Wszyscy nakłaniali mnie do skończenia z tym małżeństwem. Wniosłam więc sprawę o rozwód, widząc w tym szansę na normalne życie dla siebie i syna.

W jakimś sensie to od Piotrusia – mojego synka – wszystko się zaczęło. W listopadzie 2005 roku został poproszony na chrzestnego i potrzebne mu było odpowiednie zaświadczenie. Udałam się do proboszcza naszej parafii i tu usłyszałam wiele bardzo przykrych słów: że nie chodzę do kościoła, a przechodzę obok, że kilka lat nie przyjmowaliśmy księdza, że nigdy nie widział nas razem z mężem w świątyni… W tych słowach było wiele prawdy. Zabolało... To bardzo głupie, ale postanowiłam zrobić proboszczowi na złość i być w kościele codziennie, aby miał powyżej uszu mojego widoku. I tak się zaczęło…

Uczestnictwo we Mszy św. stało się dla mnie czymś niezwykłym, jakimś nieziemskim misterium, zetknięciem się nieba z ziemią. Wiara zaczyna się od słuchania – i ja słuchałam, słuchałam, słuchałam… Odzyskałam wzrok i słuch. Słowo, które słyszałam w kościele, niosło radość, nadzieję, miłość… Było jak balsam na moją poranioną duszę. Słyszałam, że Bóg mnie kocha, że kochał mnie przez cały czas, że pragnie mojego dobra, mojego szczęścia, że mi

wybacza – tylko mam już nie grzeszyć. Postanowiłam przez cały rok uczestniczyć codziennie we Mszy św., aby sobie wszystko „poprzypominać", uporządkować.

Jedno wiem na pewno – było we mnie szczere pragnienie życia po chrześcijańsku. Trafiłam na cykl katechez neokatechumenalnych w naszej parafii, bo zaintrygował mnie tekst zaproszenia: „Jeżeli rozpada się twój związek, jeżeli chcesz poznać Chrystusa – przyjdź". Ja chciałam.

Kontakt z żywym słowem Bożym uświadomił mi, czym naprawdę jest wiara, i pozwolił mi spokojniej znieść śmierć mamy. Bycie z ludźmi we wspólnocie dało mi siłę do podjęcia decyzji o wycofaniu pozwu o rozwód i o przebaczeniu mężowi. Początkowo, kiedy usłyszałam od Marka – naszego katechisty – że powinnam przebaczyć i poprosić o wybaczenie swojego męża, to myślałam, że on zwariował. Myślałam sobie: „Co on może wiedzieć o mnie i moich problemach?". Byłam przekonana, że to mąż mnie ma przepraszać – i to na kolanach. Ale coś kazało mi „iść na całość", zawierzyć, zaufać. Bezgranicznie i do końca.

Uświadomiłam sobie, że ja też nie jestem bez winy. Nieraz zraniłam swojego męża słowem, brakiem czułości i empatii. Zrozumiałam, co to znaczy, że mam pozwolić, aby w moim sercu „narodził się Chrystus", i co znaczą tak często powtarzane słowa „o umieraniu dla drugiego człowieka" – czyli o rezygnacji z siebie, ze swojego ja, ze swoich racji, swoich egoistycznych dążeń, aby jedynie mnie było przyjemnie.

Pamiętam zaskoczenie wszystkich w sądzie, kiedy na kolejnej rozprawie o znęcanie się fizyczne i psychiczne nad rodziną powiedzieliśmy wraz z synem, że przebaczamy i prosimy o umorzenie sprawy. Wszyscy wtedy byli zszokowani – pan sędzia, znajomi, rodzina. A my z Piotrkiem byliśmy szczęśliwi. Spadł nam kamień z serca.

Pamiętam, ile we mnie było nienawiści, niechęci, złości do męża i całego świata. Pamiętam, jak strasznie przygniatała mnie świadomość „przegranego życia". I pamiętam, że kiedy zaprosiłam do swojego życia Jezusa, te wszystkie negatywne uczucia, jakie miałam w sercu, zamilkły. „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i umęczeni jesteście, a Ja was pokrzepię" (Mt 11, 28)… Poczułam niemal fizycznie głęboką prawdę tych słów. Zrozumiałam, że każde wypowiedziane przez Jezusa słowo jest Prawdą – Życiem i Drogą. Jeżeli chcemy, by Jego słowo odmieniało nasze życie, to musimy je traktować jak instrukcję, którą należy dokładnie wykonać, zastosować. Tak jak apostołowie, którzy łowili całą noc i nie złowili nic, a kiedy zarzucili sieć dokładnie w tym miejscu i tak jak polecił im Jezus – sieć aż się rwała od nadmiaru ryb.

Drugiego człowieka, choćby był nie wiem jak podły, zły, zepsuty…, możemy zdobyć, zmienić tylko miłością. Jezus właśnie tego mnie uczył i tego ode mnie oczekiwał. Zrobiłam coś, do czego nie byłabym zdolna, gdyby nie Jego moc. Im bardziej poznawałam Jezusa, tym bardziej byłam Nim zauroczona, zachwycona. Tak bardzo chciałam iść Jego śladami i być chociaż odrobinę do Niego podobna. W zachwycie jest zawsze chęć naśladowania.

Poprosiłam męża o wybaczenie i zaczęłam na niego patrzeć inaczej, jak na brata w wierze. Zaskoczenie było totalne... Zauważył, że się zmieniłam; zaczął chodzić ze mną na Mszę św., po kilkunastu latach przystąpił do sakramentu pokuty. Teraz chodzimy razem na Eucharystię we wspólnocie. Zmieniły się jego relacje z synem, jest bardziej odpowiedzialny, bardziej

opanowany, spokojniejszy. Nie pije alkoholu trzeci rok. Z szacunkiem mówi o posłudze kapłanów. Wiele rzeczy robimy wspólnie, dużo ze sobą rozmawiamy.

Nasze trudności zawieźliśmy również na rekolekcje „Kana". Dały nam one niezwykłe poczucie jedności, serdeczności. To tam, w gronie Przyjaciół Jezusa z Nazaretu, zrozumieliśmy, czym jest małżeństwo sakramentalne, czym jest bycie ze sobą na dobre i złe i czym jest miłość w małżeństwie. Ponownie – i tym razem już zupełnie świadomie – zaprosiliśmy do swojego życia Jezusa, a On dokonał cudu, jak w Kanie.

Marzymy, by nasz syn widział w nas ludzi odmienionych przez Boga, serdecznych i życzliwych dla siebie i innych, ludzi żyjących Ewangelią. Myślę, że nasze świadectwo jest dla niego najbardziej wiarygodnym znakiem, dowodem na istnienie i działanie Boga.

Podniesienie się z takiej sytuacji, w jakiej byliśmy jako rodzina, było możliwe tylko z Bogiem. „Jarzmo moje jest słodkie" – mówi Jezus (por. Mt 11, 30). Dokładnie tak jest. Myśmy tego doświadczyli. Rozumiemy, co jest naprawdę ważne i bezcenne w życiu – Bóg, rodzina, serdeczne, ciepłe relacje z drugim człowiekiem.

Wszystkim, którzy napotykają problemy w swoich małżeństwach, chciałabym z całą odpowiedzialnością powiedzieć jedno: rozwód to brama do piekła. Trzeba o tym pamiętać. Każde małżeństwo w oczach Boga jest święte – nierozerwalne i warte tego, by poświęcić wszystko dla jego ratowania. Wszystko. Bóg nigdy nie pozostawia człowieka samemu sobie. Nigdy.

Kasia B.

Świadectwo pojawiło się w magazynie katolickim "Miłujcie się!" nr. 1 2010